

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 220.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4 kwartalnie rs. 2.
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 grudnia 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12 półrocznie rs. 6 kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 pocztowe.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Antoni Małecki (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kościół pp. sakramentek w Warszawie (z drzeworytu). — Drzewa podaniowe (z dwoma drzeworytami). — Kurka, szkic szczęścia ziemskiego (dalszy ciąg). — Dawne ubiory i ubrojenia, (dalszy ciąg). — Ibrahim Strasz (okołończenie). — Rebus.

Antoni Małecki.

Szkic biograficzno-literacki.

Zdanie tych, według nas, bardzo mało jest uzasadnione, którzy twierdzą, że życiorysy ludzi piszących powinny być wyłącznie nekrologami. Bez wątpienia wprawdzie pisarze należą do historii, a w historii literatury, jak w każdej innej, rzadko kiedy sądy społeczne są beznamienne; ale jakkolwiek przywykliśmy w krytyce domagać się tej beznamienności jako najpierwszej zalety, ktoż zaprzeczy, że za nią idzie także pewna bezbarwność, która w rzeczach sztuki niemniej bywa naganną, jak w rzeczach przekonania politycznego? A jeżeli już zapatrywać się będziemy na taki życiorys ze stanowiska wprost utylitarne, czyż nie lepiej w każdym razie, iżby żyjący autor, którego w życiorysie streszczono prace i przyłożono do skali jednego ogólnego poglądu, skorzystał jeszcze, jeżeli zechce i może, nie tyle wprawdzie z oceny dzieł dawniejszych (bo tej doczytywał się już w pojedynczych artykułach o szczególnych swoich utworach), ile raczej z ogólnego wizerunku swej fizyognomii pisarskiej, mianowicie też z obaw czy nadziei, jakie pod względem obranego przezeń kierunku wyrobiła sobie dotąd czytająca publiczność? Samo się przez się rozumie, że podobny życiorys o tyle tylko dotykać może stosunków zewnętrznych pisarza, o ile te z wewnętrznym jego ukształceniem i literackimi płodami są bezpośrednio związane; każde bliższe prywatnego jego życia dotknięcie zakrawałoby z konieczności bądź na panegiryk, bądź na paszkwil; my zaś od zamiaru przypodobania się jednemu, popisania z drugim zarówno jesteśmy dalecy.

Z rządu poetów społecznych, którzy niezaprzeczonymi dowodami swojej zdolności wielkie dorazu obu-

dzili pomiędzy nami oczekiwania, wybieramy dziś jednego z najznakomitszych, najbardziej narodowych, *Antonia Małeckiego*, a wybieramy go na początek szeregu naszych szkiców biograficznych o pisarzach społecznych głównie dlatego, żeby jawnie wynurzyć zdanie o swych nadziejach, dotąd jeszcze nie ze wszystkiemi ziszczonych, do których przecież spełnienia, bacząc na to co zdziałal do tej pory, niewątpliwie już posiadliśmy prawo. Epoka zresztą dzisiejsza, mniej

normalny, nie już zależny od pojedynczych zachcianek, ale oparty na wiekuiistych prawidłach umysłowego rozwoju narodu.

Dodajemy do tego, że Małecki głównie powszechności naszej jest znany jako poeta dramatyczny i że dramat, w stosunku do innych gałęzi poetycznych, jak z jednej strony w literaturze naszej najmniej dotąd się samoistnie rozwinął, tak z drugiej strony w rozjasniających się coraz lepiej dziejach ojczystych tak

potężne znajduje żywioły i dźwignie, iż chodzi w nim głównie już tylko o uchwycenie formy, duchowi narodowemu najodpowiedniejszej, to jest nie eklektycznej z Greków, Anglików, Niemców, Francuzów, ale jednolitej i moralnie społecznej, takiej, jaką jest na swój sposób np. forma dramy hiszpańskiej, ażeby odrazu już stanął na wysokości innych rodzajów naszej literatury poetycznej. Toć wiadomo, że jeden z największych u nas twórczych geniuszów, Juliusz Słowacki, swoje potężne poczucie dramatyczne roztrwonił tem właśnie, że je oparł na formie Szekspirowsko-Byronowskiej; wiadomo także, iż Lope de Vega, właściwy twórcą nowych torów dramatu kastylijskiego, siłą talentu zdaleka nawet nie dorównywał Calderonowi, który przecież w jego wstępował ślady i na tej drodze olbrzymie zbudował arcydzieła; naturalnym więc wyda się wniosek, że nie czekając pojawienia się nowych geniuszów, których Opatrzność widocznie coraz bardziej skąpi dziewiątnastemu wiekowi, z nadziejami naszymi zwracać się godzi do znakomitych społecznych, choć mniej zapewne genialnych, mniej zwłaszcza samodzielnie twórczych poetów, ale którzy w dotychczasowych swoich utworach już nam dowiedli wysokiego przejęcia się formą, poczucia wiary i ładu, owego przystem zmysłu przeważnie scenicznego, stanowiącego jeden z najcenniejszych, lubo pozornie wprost tylko mechanicznych pierwiastków działalności dramatycznej. Takim poetą okazał się niewątpliwie Małecki; sędzi- my więc, że bliższe określenie doniosłości jego talentu i plodów któremi dotąd literaturę ojczystą obdarzał, wypowiedzenie oraz widoków, jakie na określeniu tem opieramy, lekkie nawet (o ile na to sił naszych) dotknięcie wskazówek ku możliwemu takich widoków urzeczywistnieniu, będzie i nie bez zasługi, i na dobre.



ANTONI MAŁECKI. (Podług fotografii).

przyspajająca szczegółowym rozbiorem, silniej nas przyku ogólnym poglądom; więcej bowiem niż kiedykolwiek wypada się z tem obliczyć co mamy, poważniejszy zapuszczać wzrok w przyszłość, bo na tych jedynie podstawach wyrosć może w literaturze stan-

Antoni Małecki urodził się 1821 roku w Obiezieru, o 3 mile od Poznania, a pierwsze nauki pobierał w domu i pod okiem troskliwych o jego wychowanie rodziców. Oddany następnie do gimnazjum św. Maryi Magdaleny, w stolicy swojej prowincji, gdy takowe z chlubą ukończył w 1840 r., udał się, z zamiarem poświęcenia się naukom filologicznym, na wydział filozoficzny do uniwersytetu Berlińskiego, gdzie liczna w owym czasie kształciła się młodzież polska, nie tylko z Poznańskiego, ale także z Królestwa, z Galicji, z Litwy i z Ślązka. Ruch umysłowy w tej młodzieży, jej zapal do nauki, jej przeświadczenie o ważności duchowego swojego postannictwa, rokowały najpiękniejszą nadzieję. Podczas kiedy studenci niemieccy, dawnym burzów zwyczajem, trwonili dnie i noce na pijačkih hulankach i pojedynkach, młodzi Polacy, ze wzrokiem niezruszonym w świątynie nauk wlepionym, uzupełniali jednostronność cudzoziemskiej wszechnicji poważnymi studiami nad własną przeszłością, nad jej dziejami, literaturą, instytucjami społecznymi. Małecki był jednym z najgorliwiej i najgoręcej zabierających się do pracy około literatury ojczystej, ale nie ulegając zwykłej pokusie młodych talentów poetycznych, nie wylewał się w lirycę, nie budował planów do górnolotnej epopei lub dramatu, a za najważniejsze swe raczej w danej chwili uznawał zadanie, kształcić myśl, formę i język na wielkich wzorach obcych i naszych, oraz wyciągać z nich teorye i wnioski, któreby mu przy późniejszym posłudze mogły tworzeniu. Dlatego to Małecki, rzadkim pomiędzy młodymi poetami przykładem, z pierwszemi pracami swojemi wystąpił nie wierszem, ale prozą. W 1842 r., będąc jeszcze uczniem berlińskim, napisał do *Orełownika Naukowego* rozprawę o Mickiewiczu.

W 1844 roku napisał Małecki swoją rozprawę inauguracyjną: *De academia vetere* (o starożytności akademii), po publicznem obronieniu której pozyskał dyplom doktora filozofii. Czas jakiś przebywając w Poznaniu, otrzymał tu wkrótce posadę nauczyciela w tym samym gimnazjum, którego był wychowawcą, a obok tego w odczytach publicznych wykladał swój pogląd na celniejszych naszych poetów, z którym występował również w *Gazecie Poznańskiej* i w czasopiśmie p. t. Rok 1846, gdzie bliżej oceniając, w czasopiśmie *Trydyona*, wziął ztąd sposobność do rozpisania się raz jeszcze o warunkach, stanowiących, jego zdaniem, podwaliny dramatu narodowego. Pomiął tu jednak kształcający się dopiero do swego zawodu Małecki, jedną najważniejszą, bodaj czy nie jedyną dźwignię narodowości w utworach dramatycznych, t. j. przejęcie się poety wewnętrznym duchem narodu i wieku, a przejęcie się nim takie, żeby w najdrobniejszych, najmniej pozornych szczegółach, rzeczywista jego właściwość z tą samą występowała oryginalnością i prawdą, jaką zachowywać umiść w ryszach największych.

Rok 1850 odznacza ważną i nową fazę w działalności Małeckiego, powołanego na zastępcę profesora nauk filologicznych, do wszechnicji krakowskiej. Alma Mater Jagiellońska z radością powitała dzielnej sily młodziana, który też pojmując sumiennie całą wagę obowiązku, kurs dla swoich słuchaczy przysposobił zarazem jako dzieło nauki dla większej publiczności. Z tego wyrosły: *Prelekcya o filologii klasycznej i jej encyklopedyi*, praca wprawdzie nie dociągnięta do końca, ale usprawiedliwiająca w zupełności rozgłos, jaki poprzedził do Krakowa głębką jego erudycją w rzeczach literatury starożytnej. Zamilowanie przedmiotu, serdeczne jemu oddanie się, maluje się tu na każdej stronie. W przedmowie, zapatrując się na filologię ze stanowiska ogólnego kształcenia ludzkiego, zwyciężko zbijał paradoksalne zarzuty Michała Wiszniewskiego, przeciw gruntownej znajomości języków i literatur starożytnych; w dalszym też ciągu, albo raczej w bezwzględniejszym rozwinięciu tej myśli, poświęcił prelekcją wstępną wykazaniu stosunku i działalności nauki filologicznej na zewnątrz, oraz wyborowi umiejętności w skład jej wchodzących. Wcześniej pierwszą traktuje o znaczeniu filologii w ogólności, o szczegółowym znaczeniu jej w szkołach; druga dopiero obejmuje i określa całą encyklopedyą tej nauki, a więc: mytologią, starożytności greckie i rzymskie, archeologią sztuki, dzieje literatury klasycznej i klasyczną estetykę. Wydanie części trzeciej, w której przeważać miała treść dziejowo-literacka, na nieszczęście w samym środku rozwoju wstrzymane, dotąd jeszcze nie pojawiło się, a może i całkiem przez autora zostało porzucone. W każdym razie to co znamy z tej pracy, już nam wystarcza, żeby zrozumieć gruntowność podstaw naukowych, na których literacką swoją działalność rozwijał, gdyby dostatecznym jeszcze na to dowodem nie były jego pisma poprzednie; że zaś obok tego, na chwilę ulubionego dramatu z oka nie spuszczał, o tém świadcza

nie tylko rozproszone w pismach peryodycznych z téjże epoki rozprawy, ale bardziej jeszcze przekład tragedji Sofoklesa: *Elektry* i *Antygony*, z których atoli pierwszą jedynie w 1854 roku wydał w Poznaniu na widok publiczny.

Nie możemy jak tylko przyklasnąć pojmovaniu rzeczy, wyłożonemu przez Małeckiego w przedmowie do tego tłumaczenia; postępek też od zdani, wyrzeczonych przed kilkoma laty w czasopiśmie poznańskich, nader wydatny, a notujemy go tu głównie dlatego, że jednocześnie prawie, bo w tymże roku, wyszedł najpierwszy jego dramat oryginalny: *List Żelazny*, októrym wnet obszerniej nieco powiemy.

Otóż w przedmowie do *Elektry*, wspominając ośpółczesnych przekładach trzech tragedji Sofoklesowskich: *Edypa króla*, przez Alfonsa Wabickiego, *Antygony* i *Etyppa w Kolonie*, przez Kazimierza Kaszewskiego, tłumacz, „nie zaprzecza wprawdzie tym publikacyom zalet, które do najpożądanych należą w rzeczach tego rodzaju, nie tai jednak, że gdyby z nich tylko miał sobie kto utworzyć wyobrażenie o dramaturgii klasycznej, bardzo niedokładne, jeżeli nie wprost fałszywe, miałyby o niej pojęcie. Daleko więcej one zakrawają na tłumaczenie francuzkich klasycznych tragedji Corneilla albo Racina, aniżeli na starożytno utwory. Kiedy się je porównywa z oryginalnem, niewiedziąc właściwie czemu przypisać tę uderzającą w nich niegreckość i niestarozyność. Myśli oddane są po większej części wiernie, obrazy naśladowane są ściśle, nawet zwroty częstokroć trafnie wyrażone w przekładzie. Styl jest poważny, wiersz i rym dość gładki, język utrzymany na wysokości przedmiotu; — z tém wszystkiem coś rażącego w całym wrazeniu, jakie te przekłady wywierają na czytelnika. Choć w szczególności niema nie do nadmienienia, w całości czuje się jednak, że duch starożytny z tych kopij uleciał, że to nie Sofokles, choć naporóż wyraża się wziętymi z Sofoklesa myślami.“ Winę ztąd (a bezwarunkowo z téj mierze zgadzamy się z Małeckim i niejednokrotnie już także nasze przekonanie wyrażaliśmy), kładzie tłumacz *Elektry*, na źle dobraną miarę wiersza, jako niezdołą zastąpić owej formy klasycznej, „która w samej wiersza budowie nosi znamię tak właściwe całej starożytności. „Nietylko jedenastozgłoskowy, mówi, ale nawet trynastozgłoskowy wiersz nasz zbyt mało ma powagi i sędziwości, obok spadków rytmicznych, jakimi jest oddany dyalog w scenicznych starożytnych utworach. Braknie mu téj wagi, téj, że tak powiem, lapidarności toku, jaką brzmi każde słowo ujęte w formy klasyczne. Wszelki wiersza rodzaj, do którego przyzwyczajeni jesteśmy jako do organu naszej własnej poezyi, przez to samo że z nim jesteśmy spoufaleni, psuje i zmienia całe wrazenie, jakiego godzi się żądać od przekładu z greckiego oryginału. Rym w szczególności przeistacza odrazu cały koloryt, ton i wyraz starożytnego pomysłu, modernizuje to co się do nowocześnieści nie nadaje, zostawia myśl grecką w połowie drogi i jakby w napowietrznem zawieszaniu, pomiedzy klasycznej a nowożytności sterami.“

Ale jeżeli tę wysoką cenę, przywiązywaną do formy poezyi greckiej, znaliśmy już z dawniejszych pism Małeckiego, tedy za rzeczywisty postępek poczytać mu winniśmy objawione w téjże przedmowie zdanie, w którym wyraźnie oświadcza, iż powyższe uwagi stosuje jedynie do przekładów z poetów starożytnych, że atoli w utworach oryginalnych używać wypada naszego tylko wiersza, toku, sposobu i kolorytu. Nie słuszniejszego w samą rzecz, jak że, pojawiwszy wewnętrznego ducha pierwowotworu, tłumacz stara się również uwidatnić go temi samemi środkami, jakimi to czynił sam twórca; bo w harmonijnem dziele sztuki treść i forma nie są bynajmniej przymiotami, któreby bezkarnie można od siebie odłączyć. Ale widocznie wówczas już porzucił wymagany (dawniej do budowania dramatu narodowego warunek, a formie poematów greckich w dziełach oryginalnych dał za wygraną; z tém większem natomiast téj formy poczuciem odtworzył ją w swoim przekładzie *Elektry*. Powiemy wszelako, że nie zgodzilibyśmy się ze wszystkiem na nową przemianę w dyalogach miary jambicznej tragiczków greckich, na jakąś wyrojoną trocheiczną, której Małecki jeszcze z poprzedników Eschyla, jeszcze z Tespisa chciał naczepnąć. Jamby w tragedji i u nas już pozyskały prawo obywatelstwa; władał nimi po mistrzowsku zwłaszcza Józef Korzeniowski, (1) a poznaliśmy ostatnio jeszcze ich zalety i łatwą dla mowy naszej giętkość w przekładzie Götthowskiej *Ifigenii* Jenikego.

Kto pilnie przestuduje *Elektry* Małeckiego, kto zwłaszcza wniknie zarazem w tysiężne szczegóły erudycyi i smaku estetycznego, zrzęcznie w licznych przy-

piskach rozrzucone, ten w celach przynajmniej ogólnego kształcenia literackiego, dostatecznie już obeznany będzie z duchem kompozycyi i formy Sofoklesa, i dlatego to pod tym ważnym nader względem jedyna *Elektra* lepiej zastąpi wrazenie pierwowotworu, jak wszystkie razem przekłady Elisasiewicza, Smacznińskiego, Bronikowskiego, Walickiego, Kaszewskiego, lubo dwaj ostatni tłumacze, każdy w swoim rodzaju, niewątpliwie także celują zaletami. Był to piękny i szlachetny poprzednik oryginalnej tragedji, z którą w tym samym roku 1854 Małecki po raz pierwszy przed publicznością wystąpił.

Rzadko kiedy jaki twór, od pierwszjej zaraz chwili swego pojawienia się, na tak różnorodnie i sprzeczne, a sprzecznością roznamiętione częstokroć natrafiał sądy, jak owa znana nam wszystkim tragedia: *List Żelazny*, oparta, jak się wyraża autor, na podaniu historycznym i bezwzględnie roszcążąca sobie już prawo do miana poematu narodowego. Sądy te przesadnie były w obu kierunkach; raz bowiem wynosiły ten dramat pod niebiosa, jako twór najwyższej wartości, to znów równały go niemal z tuzinkową ramotką. Do rzędu pierwszych należy krytyka *Biblioteki Warszawskiej*, (zeszyt lutowy z 1859 r.), która w konkluzji przynała mu zalety „dramatycznego arcydzieła w europejskim znaczeniu tego wyrazu“; na czele drugich stanął Lucyan Siemieniński, który swoje świętobliwe zgorszenie ukrył pod szatą żartobliwie kłującąj ironii; przepasć zaś dzielącą obie te ostateczności, zapomniały niezliczone artykuły treści poniekąd dość pstrokatęj, we wszystkich czasopismach warszawskich, krakowskich, poznańskich i lwowskich, panegiryczne, wstrzemięzliwie pochwalne, uniarkowanie ganiące i paszkwilowe. Sądymy że poeta, lubo go widocznie pierwszy napad Siemienińskiego (w *Czasie* z 1854 r.), dotknął do żywego, tak iż nie bez gorczy odpowiedział nam we lwowskim *Dzienniku Literackim*, przecież wnet się oswoił z tą nawalniczą zdani sobie przeciwnych, owszem, dostrzegł w niej najnaturalniejszy dowód uznania wartości utworu; słusznie też odtąd obroną zdał na innych, a sam natomiast, w roku następnym, swoim *Wiencem Grochotnym* o nową czytelników i krytyków potracił drażliwość, nad którą, zaprzeczyć nie można, że wyszedł znowu niemal całkiem zwyciężko. Obie te prace bliżej nieco rozberzemy.

(Dokończenie nastąpi).

wność, że mało jest takich czytelników, którymby utwór ten dostatecznie już nie był znany. W każdym razie przedmiot bezwątpienia dosyć był dramatyczny, szło tylko o związanie go, czyli raczej o wykazanie ukrytych sprężyn, które czynami głównych postaci kierują.

Za najważniejszą z tych postaci, zdaniem naszym, uważaćby należało Martę, ową mamkę krajczego, która sama zeznaniem swoim zawiązuje cały węzeł dramatyczny i wokół której przez cały ciąg sztuki interes tragiczny najwyraźniej się skupia. Ale podczas gdy w *Pamiętkach Soplicy* owa mamka nawiasem tylko jest wspomnianą, wolelibyśmy w tragedji widzieć ją otoczoną aureolą macierzyństwa i z podobek czysto szlachetnych wyrwającą swego syna, chociażby kosztem mniemanego szczęścia, z grożącej mu podług niej np. dusznej zaguby, aniżeli ciemną niewiastę, której pierwsze już wystąpienie budzi w nas raczej wstręt, niż pobłażliwość. Czyż podobna bowiem wyobrazić sobie matkę, która mając syna swojego stracić ze szczytu, na jaki go wianą swoją zbrodnią wyniosła, sucho i oziębło takby się o nim wyrażała:

Takie, jak slysze, dzierzy dostojenstwo
Dziedzic i syn mniemany państwa onych,
On jest tém dzieckiem, co zamiast pańskiego
Od chwili owej chowało się w dworze,
On, po ze świata zejściu jegomości,
Wziął ojcowiznę po nim jako dziedzic.

Scena w więzieniu, w której krajczy nakłania Martę do cofnięcia zeznań, jeszcze nas nie godzi z tą przesadną ciemnotą, której nawet instynkta miłości nie oświeca,—i chyba dopiero jej śmierć, zręcznie przez poetę uznysłowioną pod postacią zakonnika, który podczas obrzędu ślubnego, klęcząc przed kaplicą, zanosí do Przedwiecznego modły umierającej za szczęście jej dzieci, ta dopiero śmierć przypomina nam, czémby mógł być ów charakter, gdyby od samego początku w wewnętrznej jedności był pojety.

Na pierwszym planie w tragedji swojej chciał Malecki niewątpliwie postawić figurę pana krajczego, a jednak ze wszystkich jest ona najmniej ściśle odgraniczoną i wydatną. Nie przeczyśmy, że głębokiego potrzeba psychologa, by logicznem myśleniem i czuciem powiązać owe sprzeczne rezultaty akcy; coż dopiero, gdyby tym rezultatom chcieć podłożyć podobki szlachetne i wielkie? gdyby nie prąd konieczności, ale zasada wyższa i święta, zmusiła go spuścić topór kła na głowę grzesznej wprawdzie, lecz miłującej matki? Sądźmy że warunek podobny nie byłby nawet zbyt trudnym do spełnienia; jakoż ze zbyteczną, jak na ten raz, pobłażliwością, dopatrzyl go się nawet w *Liście Żelaznym* p. A. A. K., krytyk *Biblioteki Warszawskiej*, czyniąc postanowienie krajczego zależnem od względów na zamierzone reformy krajowe;—my wszelako na charakter ten zapatrujemy się wcale inaczej i jedną z najważniejszych widzimy w nim chyb całego dramatu. Krajczy do tego stopnia owszem waha się pomiędzy złem a dobrem, że do ostatniej chwili nie przewidujemy stanowczego rozwiązania tej jego wątpliwości, albo raczej nie waha się nawet, bo widocznie złego od dobrego odróżniać nie chce czy nie umie. W scenie, gdy powróciwszy ze stolicy, zapytywany jest przez starostę, czy podróż odniosła upragniony skutek, krajczy odpowiada *obojętnie i sucho* (jak objaśnia autor):

Nie była daremna,
I bez wahania dał król o com prosił;—

tak jak poprzednio sam zapytuje z *obawą* (znowu według wyrażania autora), czyli Marta istotnie skazana jest na śmierć? Błąkamy się tu myślą pomiędzy dwiema możliwościami: albo krajczy przywiózł list żelazny już w zamiarze niekorzystania zeni, albo obawiał się następstw złożonej w swe ręce władzy. Ostatni ten domysł wydaje nam się nierównie poetyczniejszym, a usprawiedliwia go poniekąd późniejszy monolog po otrzymaniu poselstwa królewskiego; ale w takim razie należało przedewszystkiem uwydatnić, czy on istotnie wierzy zeznaniu Marty, lub czy w własnem przekonaniu ma się za prawdziwego Ciechanowieckiego? Walka pomiędzy jedną wątpliwością a drugą, która w komedji dałaby może powód do licznych powikłań drastycznych, w tragedji nie jest na poważnej wysokości sztuki; w samej rzeczy bowiem i w obec wewnętrznego znaczenia ludzkiego, bardzo mało na tém zależy, czy Roman jest synem szlachcianki, czy włościanki, byle tylko godność człowieka odezwała się w nim stanowczo i raz na zawsze, byle zwłaszcza wyrwał się o własnej sile z przesądu, który wprawdzie może go strącić

Antoni Malecki.

Szkic biograficzno-literacki.

(Dokończenie).

Podanie historyczne, na którym Malecki osnuł swój *List Żelazny*, wyjęte jest z opowiadania pana cześnika parnawskiego w *Pamiętkach Soplicy*, a dramatyzując je, co zresztą bynajmniej na niekorzyść jego zmysłu inweneyi nie przemawia, z wyjątkiem kilku figur podrzędnych, z wyjątkiem oraz zakończenia, które w *Soplicy* nierównie jest naturalniejsze i mniej wygląda na naciągany fatalizm, poeta samej treści w niczem prawie nie przeistoczył. Mniemamy, że od przytoczenia tej treści uwalnia nas tutaj niemal pe-

napowrót w pierwotną niższość, ale któremu nigdy już nie pozwoli zernąć ze swej duszy nabytego przez nią piętna wolności i prawdy.

Tak więc postać krajczego, zostająca nierozwiązaną dla nas zagadką psychologiczną, nie wyrasta do godności charakteru bohaterów tragedji. Jeżeli bowiem energia ducha w takiej postaci nie napina się na wysoki nastroj własnym popędem wewnętrznym, — jeżeli logiczne następstwo faktów ulega przerwaniu skutkiem jednego, nie dającego się logicznie wytłumaczyć przewrotu, — wówczas powstałe złąd, obwiejone tło obrazu może wprawdzie nadać się do efektywnej jakiejś melodramy, ale rzeczywistości nie podniesie w ideal, ale nie podeprze zupełnej wolności ducha, owej rozumnej świadomości siebie, silniejszej nad wszelkie pokuszenia bezrozumnego oporu materji. Skutek taki w tragedji, naszym zdaniem, wówczas tylko da się osiągnąć, skoro i cierpiący i sprawca cierpienia nie wzbudzają w nas ani nienawiści, ani pogardy, skoro owszem ten sprawca, wbrew własnej skłonności, z przynuszą cudze sprowadza nieszczęście. I tak np. szczególna jest zaletą w *Ifigenii* Goethego, że król taurijski, jedynie stojący na przeszkodzie życzeniu Oresty i jego siostry, nigdy nie traci naszego szacunku, a w końcu nawet zmusza nas do podziwu. Tam przeciwnie, gdzie poeta tragiczny nie może się obejść bez zbrodniarza, gdzie zmuszony jest wielkość cierpienia wyprowadzić z wielkości bezceństwa, tam doskonałości swego dzieła, bo tragicznego zeń zadowoleniu, największą sam wyrządza krzywdę. Jago i lady Macbeth Szekspira, Kleopatra w *Rokoszniku*, Franciszek Moor w *Rozbójnikach*, tyłomaż są dowodami prawdy tego twierdzenia, — a jednak wyznajemy bez ogródki, że stokroć jeszcze wolimy takich bohaterów skończonych w zlem, pobudzających serca nasze do silnej nienawiści, aniżeli istoty amfibijne, co żadnego prawie innego, oprócz pogardy i wstrętu, w nas nie wznicią uczucia. Zapewne że krajczy, by wywołać podobne wrażenie, nie potrzebował, nie powinien był występować przed nami w roli takiego zbrodniarza, — sam wątek sztuki (a w tym szczęście poety) niekoniecznie go do tego obowiązywał; — ależ w takim razie dlaczego autor nie uzupełnił tego charakteru w kierunku przeciwnym? dlaczego zeń nie zrobił postaci, którąśmy szczerze mogli i kochać i szanować? Wprawdzie tu i owdzie napomknienia o zamiarach dla dobra kraju, o wielkich, daleko sięgających planach, mierzących widocznie ku temu celowi; lecz powiedzieliśmy już, że są to napomknienia zbyt szkiełowe, które tęp samemu do zaokrąglenia całego charakteru wcale nie przyczyniają się.

Nierównie udatniejszą jest postać starosty; ponieważ nawet twierdzić nie waha się, że wygląda jakoby na najpięrszą w tej tragedji. Starosta od początku do końca utrzymany jest w jednostajnej sile: głęboka rozwaga, rzetelne uczucie dla swoich i gorące przywiązanie do ojczyzny, przy szczerzej uczciwości zasad, przy nieudanem pojęciu obowiązków chrześcianina i obywatela, znamionują piękny ten charakter. A obok tego starosta jest postacią wysoce tragiczną. Mimowolna walka, w jaką wpada sam z sobą, sprzecznosc oja i sędzięgo, obywatela kraju i kastowego szlachcica, sprawia wrażenie prawdziwie wzniosłe i tragiczne, a sympatyzując z tą walką tęp hardziej, ile że w niej górę bierze nie kasta, ale człowiek. Jakże wyraził jest np. ów monolog w scenie 4 aktu III, kiedy spowiada się z podobek, nakładających go do popierania krajczęgo.

Śmierć starosty na wiadomość o popełnionej przez krajczęgo zbrodni, sama przez się wprawdzie nie jest nienaturalną, ale jednak jako efekt zbyt przewidzianą, jako przygotowane z góry następstwo zbyt efektywną. Powtarzamy przecież, że w charakterze starosty spoczywa punkt kulminacyjny *Listu Żelaznego*. Córka jego Helena, oprócz Marty jedyna postać niewieścia w całej sztuce, nie podwyższa wyobrażenia, jakie nam tamta, w zarodzie chybiona figura, daje o pojęciu przez Maleckiego kobiety, a zwłaszcza kobiety Polki; nie wiedzieliśmy doprawdy, pod jaką w tej mierze podciągnąć ją kategoria, taka w niej nieraz sztywność, takie wymuszenie.

W kilku drugorzędnych charakterach, mianowicie w Rębajle i w marszałku starosty, panu Adamie, szczęśliwsze za to mamy typy postaci prawdziwie narodowych. Gdyby nie oni i gdyby nie sam starosta, charakter całej tragedji byłby wiele utracił na kolorycie, nawet na świeżości; w nich tęp głównie upatrujemy przygotowawcze jakoby przejście do znacznie już wybitniejszej komedji narodowej, którą nas w rok później (1853) Malecki w swoim *Wieniu Grochowym* obdarzył.

Ktożby, z ceniących oczyste piśmiennictwo, nie znał i nie milował zarazem wyborczy, a w tak do-

kładnem oświetleniu jedynej niemal u nas postaci zanne go towarzysza chorągwi pancernej, pana Paska Jana Chryzostoma? Stanowisko jakie zajął ten prawdziwy szlachcic i rycerz polski, dziarski a zalotny, poważny a dowcipny, prawy a przebiegły, potulny a butny, na długo jeszcze w literaturze naszej zostanie typem, w którym odbija się jeden po drugim wszystkie tak odrębne, a jednak tak niezaprzeczenie z sobą związane odcienie charakterów jędrnie-kontuszowych. Boć to niedosyć przyodziać się w kontusz i zarzucający w tył wyloty, jedną ręką pokręcać węża, drugą zatknąć za pas lity, jeżeli... ten wąż jedynie przyprawny, jeżeli... ta ręka miękka i do szczerzego uścisku dłoni bratniej, równie jak do władania kordem niezdoła. Szczęśliwy to więc z jednej strony, lubo z drugiej hazardowny był pomysł poety, uczynić tego Paska bohaterem komedji, boć on, jeżeli sam przez się nie jest jeszcze figurą historyczną, jednakże z naturalnej konieczności na całym swem otoczeniu niewątpliwie historyczne wyciska piętno; — zaś im jasniejsze z Pamiętników Paska mamy pojęcie o nim samym i o współczesnych mu ludziach, tęp więcej sąd nasz musi być wymagający. Szło tu prócz tego o spełnienie innych jeszcze warunków dobrej komedji, które, jak wiadomo, dosyć są liczne, a którym bezwzględnie sprostać także nie tak bardzo jest łatwem.

Jakoż w samej rzeczy z pojedynczych ingrediencyj niekoniecznie bezużytecznych, mamy w *Wieniu Grochowym*, (którego treści podawać tu również nie będziemy) dość luźny i podejrzaną nawet autentyczności obraz domowego pojęcia szlachackiego, z czasów panowania króla Jana Kazimierza. Ale gdyby ten obraz był nawet stokroć spójniejszym, gdyby wiarygodność jego żadnej nie podpadała wątpliwości, jeszczeby go to nie podniosło do godności komedji historycznej. Duch wynalazczy poety szczerzej wprawdzie tu sobie poczynał, niż w *Listie Żelaznym*; wątek intrzyg osnuty został na mało znaczących napomknieniach o dziwnym wstąpieniu Paska do kobieci stanu wdowięgo, o jakichś niby zawisici dwóch prowincyj, Mazurów i Krakowian, która w każdym razie w przeszłości naszej tak arcy niewinne zajmowała miejsce, że dziś już zupełnie prawie się zatara. Niebrak tęp na niezbędnych przydatkach w tego rodzaju obrazach, na burdach z szablą lub z kielichem w rękę, a wszystko to razem nie jest pozbawione humoru i życia; — są to jednym słowem, jak powiedzieliśmy, ingrediencyje do utworzenia komedji niekoniecznie bezużyteczne, — ale pomimo tego z tęp mieszaniny nie wyrosła jeszcze prawdziwa komedja historyczna.

Czy są w ogóle ważniejsze jakiegobądź warunki, w których tragedia i komedja historyczna schodzą się z sobą? Są bezwątpienia. Do jednej, jak do drugiej, tak samo jak i do powieści dziejowej, potrzeba przede wszystkim *osob historycznych*. Jeżeli zaś utwor taki, oprócz zwykłego swego zadania, polegającego na najwywotniejszym przedstawieniu danej jakiejś epoki, uwytadnić ma zarazem w sobie charakter czysto narodowy, naówczas niedosyć żeby jedną z działających w nim figur był charakter znany w historii, — naówczas potrzeba, iżby ten jeden, lub więcej podobnych charakterów, na koleje swego narodu istotnie przezwane wywierali wpływy. Mówiąc innemi słowy: w dramacie historycznym rozwijać się powinna w naszych oczach historia. A nie sądzicie, byśmy takim określeniem zbyt małe pole działalności zostawiali poecie: — jeżeli bowiem już historyk, jedném tylko wierdem odtwarzaniem faktów, umiejtnie ich pomiędzy sobą spajaniem, nadewszystko zaś wydobyciem na jaw myśli głównej, która całemu rozwojowi dziejow przewodzi, najdzielniejszym stanąć może artystą, cóż dopiero powiemy o dramatyku, którego intencja nietylko na drobnych szczegółach olbrzymie wykazuje rysy; ale sama tworzy i jedne i drugie, byleby z całością czasu i narodu w nieprzerwanej zostawały harmonii? W komedji historycznej nie idzie tu zresztą bynajmniej o rzeczywiste zdarzenie, na którym treść akcyj powinna być osnuta, — więcćj powiemy, nie idzie nawet o to, by postacie historyczne do niej wprowadzone, same były współdziałającymi, byleby tylko duch ich przenikał całość utworu, (przypomnijmy w tej mierze *Obóz Wallensteina* Schillera, a nawet *Prolog do Barbary Odyńca*), byleby sam sposób powiązania faktów dokładnie dawał wyobrażenie o ukrytych przed pospolitem okiem działaniach.

Przykładając *Wieniec Grochowey* do skali takich warunków, wyznać należy, że Malecki zamiast komedji, dał nam w nim tylko obrazek obyczajowy z właściwej epoki, lubo nie przeczyamy, że i taki obrazek może mieć wielkie swoje zalety, gdyż i on przez wierne odbicie charakterystyki jakiego okresu,

uwytadnić może głębsze jego znaczenie. Mniemamy wszelako, że i z tej strony niejedno jeszcze możnaby *Wienicowi Grochowemu* zarzucić. Wspominaliśmy o ingrediencyjach, których dziwne poniekąd połączenie składa się na całość tego dzieła, albo raczej na pozorzone powikłanie go; gdyby zaś ktokolwiek, przeszłości naszej mniej świadomy, chciał według nich dokładnie sobie o niej utworzyć zdanie, nie sądziłoby, iż najwydatniejszą tęp przeszłości stroną był antagonizm jednej ziemi, jednej cząstki kraju przeciwko drugiej? A przecież nie byłoby zdania fałszywego na świecie. Kto by charakter owej epoki zasadał na drobnych szlachackich emulacyach, na podobnem rozdwojeniu, jakie w jedném i tęp samém mieście panuje niekiedy pomiędzy mieszkańcami jednej dzielnicy a drugiej, — tam zaś gdzie idzie o uwytadnienie tego charakteru, wykończył obraz go nakładanymi farbami bijatyki i pijatyki, ten, zdaniem naszym niezbyt szczęśliwie usiłowałby wznoczyć ową przebrzmiałą już na szczęście modę, która wiecznie tylko *ujemną* stroną naszej przeszłości na plac wyprowadzała. Był czas, kiedy na wiarę tych ujemnych obrazów, wielka masa czytającej publiczności ze wstrętem odwracała się od własnej historii, albo kiedy winą ojców zastawiano się tam, gdzie wina ciążyła samych już potomków. Szczęśliwym przewrotnem kierunek ten ustal w naszym piśmiennictwie; wystrzegamy się tęp, choćby najmimowolniej, od wskrzeszenia go! Boć że i ze strony Maleckiego nie było w tej mierze rozmyślu, dowodem tego cała zanność jego tendencyj, dowodem sam *List Żelazny*, gdzie powaga koturnu nie zniżała się do efektów burdowych i gdzie pewna czystość moralna przewija przez różnostronne pojnowanie nawet zbrodni. Tęp gorzej wprawdzie, jeżeli w komedji, która bezpośrednio jeszcze powinna być odciśnięciem natury, która może być przeznaczoną nawet do działania na większą masę publiczności, względ ten zupełnie został zaniedbany. Bije się Pasek z wojskiem, bije i kłoci się z Żelewskim i Kardowskim, bić się i kłocić gotów z przyjacielem Orlarowskim, a te wszystkie burdy w niczem bynajmniej nie przyczyniają się do wyświeetlenia jego indywidualnego charakteru; — raczej uważać je należy za ozdobę niby potrzebną całemu rodowi ówczesnej szlachty i rycerzy. Iż to innych, a tak łatwo ująć się dających skarbów gorącego narodowego uczucia spoczywa w tegoż samego Paska wybornych Pamiętnikach!

Pisząc to wszystko, nie lękamy się zbyt surowym może sądem wznieść niewczesną drażliwość poety; Malecki nadto wytrawnym jest pisarzem, zanadto zwłaszcza przejętym godnością kapłanstwa poetycznego, iżby zdanie otwarte o podejrzenie, jakobyśmy popisać się chcieli z owym duchem czernienia i przeczenia, który wielu dziś u nas wyłącznie za krytykę uważać zwykł, nie lękamy się tego tęp hardziej, ile że skwapliwie wyznajemy, iż pierwotna myśl autora, lubo błądną się tu i owdzie pomiędzy dramatyczną akcją a rozwlekłym opisem, obroniona jest niemal wszędzie z owem rozmiłowaniem w przedmiocie, które w dziełach sztuki samo jedno przeważnie już dowodzi zamiennego talentu sztukmistrza. Obok tego pod względem formy zewnętrznej, której zaprawdę, zdaniem naszym, nigdy zbyt wysoko ocenić nie można, poeta w obu swoich utworach dramatycznych nie prawie nie zostawił do życzenia, chętnie bowiem z nim na to zgodzamy się, że wiersz, a zwłaszcza biały, najwłaściwiej zastosować się daje do tragedji, — proza do komedji. Język jest w nich męzki, czysty i dzwięczny, styl szlachetny i jasny, dowiep nieraz ostry i jedyny; wersyfikacja zaś miejscami tylko nie pokonywa trudności, od słabo dotąd rozwiniętej metryki naszej prawie zawsze jest niedostępną.

Pochlebny rozgłos, jaki pozyskał Malecki w większem kole całej czytającej publiczności polskiej od pierwszej niemal chwili pojawienia się *Listu Żelaznego*, nie uchronił go od dekretu ministerstwa, którym pod koniec 1854 roku najcelniejszy profesorowie polscy: Helcel, Wincenty Pol, Zielenacki i Malecki, oddaleni zostali od obowiązków. Malecki osiadł w Poznaniu i tu już podał do druku *Wieniec Grochowey*; wkrótce atoli rząd austriacki ofiarował mu katedrę filologiczną w akademii inspruckiej, z kąd po krótkim pobycie, w 1856 roku przeniesiony został na posadę profesora języka i literatury polskiej do uniwersytetu lwowskiego. Rzecz można, że tu rozpoczął się nowy okres w działalności literackiej Maleckiego, niemniej wprawdzie zaszczytny i pożyteczny, ale dotąd przynajmniej zawodzący niecierpliwie i słusne oczekiwania tych wszystkich, którzy po tak świetnych zaczątkach, przecuwaliby w nim najdzielniejszą podporę sceny narodowej. Wprawdzie w *Kul-*

ku *Rodzinnem* z 1860 r. drukowaną była scena z nową tragedji Maleckiego p. t. *Jadwiga*; resztę tego dramatu atoli, dla niewiadomych nam powodów, autor zniszczył i odtąd rzeczywiście zajął się prawie wyłącznie pracami zostającymi w bezpośrednim mniej więcej związku z przedmiotami przezeń wykładanymi, to jest z językiem ojczystym i jego literaturą. Kierunek ten pracy nakreślił sobie już poniekąd Malecki w *Prelekcji wstępnej*, od której kursa swoje we Lwowie na rok uniwersytecki 1856/7 rozpoczął, a z której ustępy drukowane były w *Czytelni dla młodzieży*, wydawanej tamże pod redakcją Karola Cieszewskiego. Jednocześnie bowiem szczegółowe z dziejów naszego piśmiennictwa opracowywał okresy i osobistości, jak np. do *Biblioteki polskiej* Turowskiego ułożył wybór mów świeckich, sejmowych i innych, wraz z obszerną w tymże przedmiocie rozprawą wstępną, zaś w *Czasopiśmie* Ossolińskich, w poznańskim *Tygodniku literackim*, a ostatnio w *Książce zbiorowej* ofiarowanej w 1862 r. Każ. Wład. Wojcickiemu, drukował ustępy z obszernego dzieła *O życiu i pismach Juliusza Słowackiego*, mającego wkrótce podobno wyjść na widok publiczny, nakładem księgarza Wilda we Lwowie. Autor pracą tą przedsięwziął zapelnąć próżnię w dziejach ostatniej epoki naszej literatury, korzystając pod względem biograficznym ze zbioru korespondencji Słowackiego z matką i z innymi osobami, którą mu szczęśliwe okoliczności do rąk podały; drugą zaś, niemniej ciekawą stroną tej książki, będzie wyczerpujący rozbiór dzieł genialnego poety, którym Malecki oddawna już się zbliżka zajmował. Obok tych prac monograficznych, przysposabiał również do ogłoszenia trzy tomy *Prelekcji o literaturze polskiej*, rzecz, o ile nam wiadomo, opartą na sumiennem wnikanu w źródła, z poglądem wyrobionym własnymi studjami, do których pożądaną podawały mu sposobność bogate księgozbiory Ossolińskich, Dzieduszyckiego, Pawlikowskiego, owe na długo jeszcze przedmioty zazdrości dla mniej korzystnie uposażonych w tej mierze uczonych warszawskich. Nie wiemy wprawdzie, jak rychło autor zamysła dzieło to wysunąć na widok publiczny, nie śmiemy go nawet o to naglić, a liczymy tylko, że kiedykolwiek się pojawi, zawsze z wdzięcznością zostanie przyjęte.

W bieżącym roku Malecki wszystkich znów oczyma zwrócił na siebie wydaniem *Grammatyki języka polskiego*, pracy przez stany krajowe galicyjskie w 1815 roku zażądanęj, a w 1863 r. przez wydział sejmowy uwieniczonej nagrodą. Bez ogródki powiemy, że jest to najpierwsza polska grammatyka, zasługująca rzeczywiście na to nazwisko, najpierwsza oparta na historii samego języka, na jego powinowactwie z innymi słowiańskimi, na ogólnych i wiecznotrwałych zasadach grammatyki powszechnęj, a więc zarazem na analogii z narzeczami innych plemion rodowych, — najpierwsza obywatelką się bez dziwolągów i mrzonek, poważną, trzeźwą, dowodzącą na każdej niemal karcie obszernie, a przecież niepretensyjnie erudycyi. Cała mianowicie część o gloskach (*glosownia*) jest aredydzielem w swoim rodzaju. Toż samo powiemy o *składni*; mniej o odmianie słowa (*konjugacyi*). Naukę języka dziełem tém posunął autor naprzód niezmiernie; stworzył w niej metodę historyczno-porównawczą, która u innych narodów oddawna już wprawdzie istniała, ale do uchwycenia której żaden z pracujących dotąd u nas nad tym przedmiotem pisarzy dosyć wszechstronnie nie był usposobionym. Z obcych stanął mu na takiej drodze przewodnikiem i wzorem najznakomitszy po dziś dzień badacz filologii słowiańskiej, professor Franciszek Miklesich, którego zasady, jako podstawę nowęj polskiej grammatyki, rozwinął umiejętnie Eugeniusz Czerkawski, wizytator szkół publicznych w Galicyi. Naród instynktem przeczuł ważność tej nowęj pracy Maleckiego i od pierwszêj zaraz chwili, jeszcze zanim krytyka sąd o niej wydać zdołała, nadał *Grammatyce języka polskiego* znaczenie zjawiska. Dwie wydane na raz edycye (obszerniejsza i ścięsniona) natychmiast prawie zostały wyczerpane, a teoretyk lingwistyczny dziś tém samém cieszy się uznaniem ogółu, jakiego przed niezbyt dawnym czasem używał poeta dramatyczny.

Koncząc niniejszy nasz artykuł, czujemy się w obowiązku jeszcze tu jeszcze wyrazić życzenie, iżby sukcesy filologiczne nie odwracały na długo zdolności poetycznej Maleckiego od popędu do twórczości i żeby, pomimo wielostronności talentu i jego kierunków, dwa piękne poemata, któremi nas dotąd obdarzył, osamotnieniem już swoim nie stawały za dowód, że nie przyjmując pielęgnowania dramy narodo-

węj za cel swojego żywota (lubo przed wieloma innymi był ku temu sposobny), dopatrywał się w niej raczej tylko chwilowej odprawy jakoby poważniejszych rozrywki.

Fr. Henryk Lewestam.